

## Wojciech Stanisławski: Melchior rysuje raj

Melchior Wańkowicz opłakał Nowotrzeby i Kałużyce, które znikły pod szlamem bolszewickiej rewolty, opisał je w „Szczenięcych latach” i – wydawało się – zapomniał. Tyle się działo: COP, Smętek, wojna, Monte Cassino, Królik i oceany... Po czym – narysował je. Flamastrami z Pewexu i na brystolu z papiernika. W sercu epoki gomułkowskiej, w 1962 roku – pisze Wojciech Stanisławski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Wańkowicz. Między reportażem a gawędą”.

Kto raz to czytał – nigdy nie zapomni, chociaż szereg akapitów, opisujących pańskie traktowanie chłopów, Żydów i dziewczek, zbulwersuje nie tylko razemkowca, lecz po prostu każdego urodzonego po roku 1900. Ale też Mel, stary kokiet, zastrzegął się przecież we wstępie: „Ta książeczka już w 1934, kiedy się ukazała, była odległa o stulecie. A może i o dwa, bo na głębokich kresach konserwowały się obyczaje z końca XVIII wieku. (...) Ukończywszy pisanie, uląkłem się demonstracji nicnieróbstwa, rozpusty, obżarstwa i siedmiu grzechów głównych i zatrzasnłem nad rękopisem szufladę, jak nad tyłu gawędami i diariuszami przede mną”.

Zatrzasnął – ale nie na długo: jeszcze przed wojną „Szczenięce lata” miały pięć wydań (pierwsze dwa – jeszcze jako „Szczenięce”!), a i w Polsce Ludowej, wydane ze wstępem-odgromnikiem samego autora, cieszyły się ogromnym powodzeniem. Wszyscy jednak, czytając, wiedzieli, że ani Nowotrzeb, ani Kałużyc już nie zobaczą. Skuteczniej

niż Wańkowicz szufladą trzasnął w Rydze kordonem Kain Grabski: wśród setek dworów i dworków oddanych na zniszczenie Sowietom znalazły się i te w *rajonie* berezyńskim.

Sam zresztą autor nie pozostawiał złudzeń: ostatnia scena książki przedstawia szabrowanie kałużyckiego dworu, potem już tylko gorzkawa wańkowiczowska historiozofia: „Pstrokatemu srokoszowi historii podobało się przewrócić żywe serca ludzkie. Cóż uczynią? Żyją, nim nie zemrą. Dwory kresowe już zmarły. Ich byłych mieszkańców odprowadza raz po raz na cmentarz coraz szczuplejsza garstka w zrudziałych okryciach. A wkoło Polska szumi...”. Ta garstka – Woyniłłowiczów, Pawlikowskich, Wańkowiczów – żyła, od Wilna po Wielkopolskę, w znacznej mierze pamięcią, którą czytelnicy dzielili przez prokurę: „Od pierwszej chwili, kiedym, wyszedłszy przed budynek stacji w Borysowie, ujrzał czwórkę w lejcowe gniadosze, przysiadające na zadach, liberię haftowaną srebrnymi herbowymi strzałami, kiedy bryczka, skacząc po niedokarczowanych drożynach leśnych, pomykała białoruskimi polami, polanami, obramowanymi na horyzoncie w leśny gąszcz, od tej pierwszej chwili wziął duszę chłopięcą w swoje nieodparte władanie kraj brzóz, mgieł i wrzosowisk, kraj ojców moich” – zaczyna się wańkowiczowski opis drogi do Kałużyc.

Po kolejnej wojnie ta garstka w zrudziałych okryciach rozrosła się do dziesiątków tysięcy: spora ich część spoczęła zresztą wygodnie w torfach nad Jenisejem lub piaskach nad Amu Darią. Ci, którzy ocaleli, byli rozproszeni od Kanady po Kraków. „Kanadyjscy” mogli przynajmniej spisywać wspomnienia, drukowane później na łamach „Wiadomości” lub „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza”, szybko wilgnących w londyńskiej mgle. Ci krakowscy i warszawscy mogli (po 1956) spisać czasem jeden czy dwa obrazy rodzinnego dworku w prasie

paksowskiej czy „Tygodniku Powszechnym” - mnożąc ideologiczne odgromniki tak bez umiaru, że wspomnienie zamieniało się w jeża. Mogli też wpleść to, co zapamiętane, w pisaną właśnie prozę: taki ezopowy przemyt, uprawiany przez połowę ZLP, od Kuncewiczowej po Kuśniewicza.

A jednak w PRL pojawił się pomysł na zebranie tej spuścizny – pomysł, który zasługuje na epopeję, a który trzeba tu streścić do trzech akapitów. Więc żeby skrócić wywód jako słowo-klucz, słowo-skojarzenie napisać trzeba jedno nazwisko: Aftanazy.

*Żeby skrócić wywód jako  
słowo-klucz, słowo-  
skojarzenie napisać trzeba  
jedno nazwisko: Aftanazy*

Roman Aftanazy,  
czasem określany po  
prostu „Kustoszem”  
– bo jak Redaktora  
mamy w polskim XX  
wieku jednego  
(dwóch, jeśli

uwzględnić Grydzewskiego, trzech z Turowiczem – i na tym może zamknijmy listę), tak jednego mamy Kustosza. Urodzony w rodzinie urzędnika kolejowego – strażnik pamięci skuteczniejszy niż legion Mohortów. Historyk po lwowskim UMK, w latach wojny zatrudniony w półkonspiracyjnym Ossolineum, wspierający jego dyrektora, Mieczysława Gębarowicza, w heroicznej akcji przetrwania najcenniejszych zabytków do Wrocławia wprost pod okiem Sowietów. W Ossolineum przepracował niemal całe dorosłe życie, do połowy lat 70. „odbudowując” i aktualizując jego księgozbiór naukowy. A popołudniami i wieczorami prowadził swoją jednoosobową kwerendę-krucjatę, tworzył dzieło, które tak łatwo mogło osunąć się w groteskę

lub amatorszczyne, a stało się pomnikiem: gromadził „materiały do dziejów polskich dworów i pałaców szlacheckich na Kresach Wschodnich”.

Rozpoczął ten trud jeszcze przed wojną, ale wówczas były to wakacyjne zatrudnienia beztrudnego studenta: na rowerze objechał okolice Lwowa, fotografując ok. 70 rezydencji i część z nich opisując na łamach IKC czy „Światowida”. Ale opisać dworki Kresów? W normalnym świecie byłoby to zadanie dla dużego instytutu naukowego na dekadę lub dwie. W stalinowskim PRL, po czterech falach wywózek, trzykrotnym przejściu frontu, kordonie dzielącym ZSRS od Polski, pod pewnymi względami szczelniejszym niż „żelazna kurtyna” – było to zadanie niemożliwe. Dlatego musiał je zrealizować Aftanazy.

Dla potrzeb dokumentacyjnych opracował ankietę, złożoną z kilkunastu, potem dwudziestu kilku pytań – i rozsyłał ją. Najpierw do osobiście znanych „bezetów”. Potem – do znanych znajomych. Potem... Ponawiał prośbę dwu, trzy, czasem czterokrotnie. A raz złapawszy trop – dopytywał, również korespondencyjnie. O gzyms nad kominkiem. O żyrandol w stołowym – czy na pewno z kutej stali? O zachowane w bibliotece obrazy. Tysiące listów, wrzucanych do zardzewiałych skrzynek pocztowych Wrocławia. Setki adresatów, od Kenii po Konin. Nigdy pewnie nie doliczymy się wszystkich: spuścizna Kustosza przechowywana w Ossolineum liczy kilkanaście metrów bieżących akt i już przy pierwszym ich przeglądaniu widać, jak jest niekompletna.

To przeglądanie jest doświadczeniem, które dane mi było dzięki przymiarkom do opowiedzenia epopei epistolarnej Aftanazego na którejs z przyszłych wystaw Muzeum Historii Polski. Każdy dostęp do akt jest dla historyka trochę jak uchylenie wrót percepcji, słodkawy zapach kurzu upaja, bywa, bardziej niż *cannabis sativa*. Akta Kustosza to jednak doświadczenie zupełnie osobne. W każdej teczce (jest ich kilkaset) – wyproszone przez nadawcę wspomnienie. Respondent czasem pisze na kredowym papierze z New Hampshire, czasem na wyrwanej „z mięsem” z brulionu dziecka kartce w kratkę. Żółte drzazgi niechlujnie przemielonej pulpy drzewnej, o które zahacza pióro. A mimo to, nieodmiennie: „Kreślę się z szacunkiem” „Mam zaszczyt odpowiedzieć Sz. Panu”, „*comme toujours*”.

*Każdy dostęp do akt jest dla historyka trochę jak uchylenie wrót percepcji, słodkawy zapach kurzu upaja, bywa, bardziej niż cannabis sativa*

Skrzypiące zawiasy pamięci. Po tajdze, po Tajmyrze, w domu starców w Tigginton Hall odpowiadać teraz na pytania o jakieś świeczniki! *Wielki*

*pająk rozsnuł swą sieć i lepką śliną zamknął roгатki marzenia już ćwierć wieku temu. Co tu wspominać. To wręcz niedelikatnie ze strony pana Romana, wychodzi jednak ten urzędnik kolejowy wśród przodków. A jednak piszą, z wysiłkiem równym temu, z jakim suną do kredensu po filiżankę, osiemdziesięcioletni. „Przed samą wojną zainstalowano elektryczność w stołowym”. „Co się tyczy skrzydeł brzeźnych, to były już to tylko domki połączone z korpusem głównym”. „Zachowały się dwa płótna Siemiginowskiego i oczywiście litografie Grottgera”.*

Część już po pierwszym wysłaniu ankiety, część za kolejną *prynuką* Kustosza bierze się za rysowanie. Owszem, kreślili kiedyś korekty na agronomicznych *plantach*, ale kiedy to było..? Babcie rysowały może czasem wnukom choinkę czy jeża. Teraz gruzłowate palce z wysiłkiem biorą w rękę chamską, świecową kredkę i zaczynają kreślić niebieski ścieg rzeki, oczko stawu, zielone i lila prostokąty oznaczające szklarnie i świronki. Na kartkach z bloków wykwitają nieużywane od dekad słowa: lodownia. Psiarnia. Stajnia cugowa.

I – rzecz niesamowita: drzwi. Czy ten wzór szedł od architektów z Petersburga, czy od *majstra, co rodem z Wilna był?* Każdy, kto na zajęciach praktyczno-technicznych w podstawówce dostał bodaj czwórkę z rysunku technicznego, a potem jeszcze musiał zastosować tę wiedzę w praktyce, planując pierwszy w życiu remont mieszkania, wie przecież, jak się na planie budynku zaznacza drzwi: taki jakby „kąt”, dwa odcinki połączone w jednym punkcie-zawiasie. Bardzo praktyczne – nawet z rysunku zrobionego na kolanie widać, w którą stronę się otwierają. Ale topografowie Aftanazego, niezależnie od tego, czy z Wołynia, czy znad Dźwiny, rysują drzwi inaczej, zawsze w ten sam sposób: dwie krótkie kreski, jak półpauzy, tnące ścianę: wygląda to bardziej na symbol kondensatora w układzie radiotechnicznym niż na drzwi.

Przerzucałem te teczki jak w ogniu, w nadziei, którą żywię po dziś dzień, że to pierwsza z bardzo wielu kwerend. Adampol, Aleksijówka, Ateccyzna. Skomorochy, Sińcza, Skazińce. Kielmy, Kirjanowce, Kałużyce. KAŁUŻYCE?!

„Szanowny Panie – czytam w liście datowanym na 16.X.62, na eleganckim, choć zżółkłym papierze listowym in octavo, z zamówionym imiennym nadrukiem. – Brak mi umiejętności, wiadomości i czsu na obszerniejszą odpowiedź. Nawet co do domu rodzinnego, którego szkic dla okazania dobrej woli załączam – nie byłbym pewny udzielanych przez siebie wiadomości, po za tym, że było w nim dużo obrazów i rkpsów Bartelsa (...) kilka obrazów i własnoręcznych kopii Walentego Wańkowicza, jakiś obraz Czechowicza (...), duża biblioteka w dużej części francuska”.

Hm. Trzydzieści lat wcześniej pamięć lepiej mu dopisywała – albo mniej bolała. „W salonie panował wyłącznie Czechowicz i Walenty Wańkowicz. Wielki portret siostry prababki, z Goreckich marszałkowej Wysogierdowej, miał taki ostry wzrok, >który wszędzie na raz patrzył<. Mówiono, że babka po nocy chodzi i za nic w świecie żadna z niewiast nie przeszłaby przez salon szarą godziną. W sąsiednim salonie wisieli Czechowicz, Smuglewicz i malatury pocziwego wuja Szwoynickiego, mego chrzestnego, towarzysza ojca z wygnania, który małżeństwo rodziców zeswatał i był >najlepszym malarzem pośród rolników i najlepszym rolnikiem pośród malarzy<. (...) W pokoju stołowym, mającym dwa kominki z zielonej majoliki i woskowane jesionowe belki pod sufitem, wisały inne jakieś stare bohomy rodzinne i szereg malowideł na desce roboty Bartelsa, wyobrażających białoruskie sceny myśliwskie” – czytamy w „Szczenięcych latach”.

W „Szczenięcych latach” jednak nie uświadczysz rysunków. Owszem, za sanacji o promocję postarał się sam Daszewski i, jak czytamy, w witrynie księgarni Arcta „były rozłożone >Szczenięce lata< z okładką z drzewem genealogicznym rodu Wańkowiczów, któren to ród, jak

wiadomo, z rzymskich się czasów wywodzi i ponoć fest spokrewniony z Matką Boską. Pół zaś okna zawaliły czerwone okładki >Opierzonej rewolucji< (...). Na miedzy, między tym zielonym i czerwonym polem, rosło wielkie drzewo genealogiczne zrobione przez Daszewskiego z papier maché, z którego pękata figurka Wańkowicza zdejmowała tarczę heraldyczną Jerzego ożenionego z Sofką Gedyminówną, i zawieszała na jej miejsce pięcioramienną czerwoną gwiazdę bolszewicką”.

Takie były zabawy, spory w one lata. Ale czym jest figurka z papier maché, choćby lepiona przez samego Daszewskiego, w porównaniu z tą kartką A4 na brulionowej tekturze?

Różni się od dziesiątków innych planów nadesłanych Kustoszowi: jest bardziej niedbały („przecież mam kompletny rysunkowy atalent!” – kokietował Mel w kolejnym liście, z 22.X.62, widać w odpowiedzi na pochwałę; ale rzeczywiście, talent miał niewielki), a przede wszystkim – rysowany przy użyciu flamastrów, nie kredek: ech, Wańkowicz, wieczny gadżeciarz!

Ale poza tym – wszystko się zgadza. „Rzeka Usza (6 wiorst do ujścia do Berezyny)” płynie, czarnogranatowa i błotnista. „Oran | Żerja” rozkwita w dwóch prostokątach za zielonym „Parkiem”. Są Inspekty, Ogród Owocowy, Psiarnia i Wozownia, jest Szkoła dla Dworskich Dzieci.

Wszystko się zgadza: jest dwór, złożony z kolejnych załomów jak rozkładana miarka stolarska. „Ten domek ekonomski, dziewięć okien frontu, stanowił i teraz cały fronton domu; ujęty w mocną ramę starodrzewia, lip i kasztanów, mały domek świecił niewinnie białym

gankiem, tając w głąb parku idące liczne załamy dworu, który z pokolenia w pokolenie dobudowywano. Gdyby tak dom z nawały zieleni oczyścić, ujrzałbyś snadnie, że stoi w czterech regularnie pod kątem prostym załamanych kondygnacjach”. Hall i salon? Jest hall i salon: „Tymczasem wprowadzano gościa do przestronnego hallu, hallu, na który płonący kominek rzucał ciepły blask. Po zdjęciu tych tam walonków i opatuleń, po wykruszeniu z wąsów sopli lodu i wyczmychaniu się, prowadzono go chodnikiem, tkanym w domu, do ogromnego salonu pęczniejącego w mahonie i palisandry”.

A frapujące „starki”, umieszczone w kwadracie pośrodku trawnika, na zachód od dworu? No tak, są i starcki:

„Tego tedy wiernego i starego sługę wziął do pomocy brat, kiedy już było niespokojnie i niebezpiecznie trzymać piwniczkę w domu. Najstarsze trunki, z Janem, cichaczem Tol zakopywał samowtór w parku. Teraz stary zaprowadził tam podoficera dragońskiego. Dźwięknęły łopaty. W domu pili dragoni. W krąg za parkiem, na łąkach nad rzeką, w ostrożnym promieniu stało chłopstwo. A wieczorem dragoni leżeli pokotem pod rozbitym fortepianem. Potykając się o ich nogi tłum chłopski w żarłocznym milczeniu włókł futra, firanki, naczynia, zerżnięte pokrycia kanap”.

Październik 1962: w Telewizji Polskiej wyemitowano właśnie pierwszy odcinek „Jacka i Agatki”, podczas parady wojsk Układu Warszawskiego doszło do tragicznego wypadku w Szczecinie, odtajnionego dopiero w 30 lat później, ruszył pierwszy blok elektrowni Halemba, a w spokojnym mieszkaniu na Puławskiej 10 m. 39 (gdzie dopiero za 15 lat zagości „salonik Erdmanów”) silna jeszcze dłoń kreśli „Klomby” pośrodku „Trawnika”. I „Śpichrz”, nawet dwa śpichrze, na południe od klombu. I „bzy i krzewy ozdobne”, sadzone jeszcze przez zmarłą gdy

miał trzy lata matkę. I jeszcze raz wraca do Parku: grubym zielonym ptaszkiem zaznaczane Kasztany, cieńszym (czyżby jednak kredka?) – Lipy. „Nie brak ani jednego dymu z komina, ani jednego echa, kiedy przestępuję dzielące nas rzeki”.

*Wojciech Stanisławski*

--

Dziękuję pani kustosz Agnieszce Knychalskiej-Jaskulskiej z Zakładu Narodowego im. Ossolińskich za pomoc w dotarciu do spuścizny archiwalnej Romana Aftanazego

*Wojciech Stanisławski*

*Zdjęcia w galerii pochodzą ze zbiorów autora. Źródło fotografii Romana Aftanazego, wykorzystanego jako ilustrację artykułu: [ipn.gov.pl](http://ipn.gov.pl)*

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.*



**Ministerstwo  
Kultury  
i Dziedzictwa  
Narodowego**

